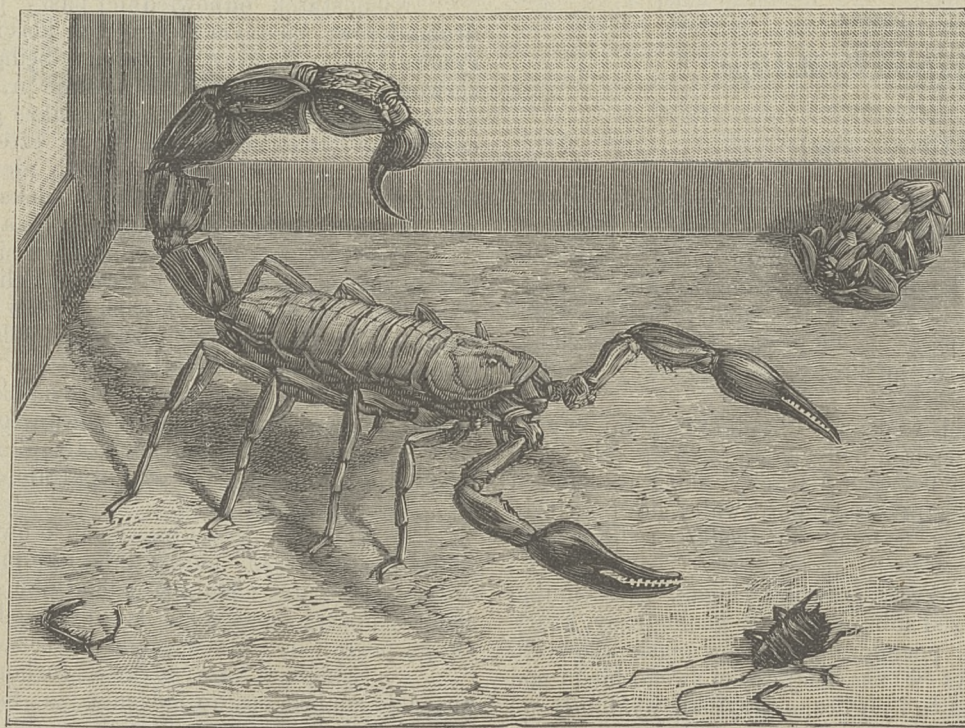




# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



## SKORPION.

Do zbiorów historii naturalnej w muzeum paryskim, przybył niedawno wielkich rozmiarów skorpion, przywieziony z Algeryi, gdzie pod kamieniami i wśród gruzów, w wielkiej znajduje się ilości. Gatunek ten, uważany jest za niebezpieczny a zdaniem krajowców, ukłucie takiego skorpiona

niechybną śmierć sprowadza. Różnią się one pod tym, względem od skorpionów, zamieszkujących kraje południowej Europy, napotykanych czasami nawet w ciepłych dolinach Krainy i Tyrolu, których ukłucie nie bywa szkodliwem i nie sprowadza większego bólu, jak ukąszenie osy.

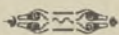
Skorpion przywieziony do Paryża, umieszczony w akwarium, gdzie mu podają na pożywienie małe robaczki i owady, siedzi większą część czasu zwinięty nieruchomie w kłę-



bek, jak przedstawiony jest po prawej stronie naszej ryciny, gdy go kto jednak dotknięciem laseczki podrażni, zrywa się, wyciąga przednie nogi, opatrzone jak u raka kleszczami, zakrzywiając węzłowaty ogon ku grzbietowi. Skorpiony żyją w krajach gorących, w miejscowościach ciemnych i wilgotnych; dnie spędzają w ukryciu, nocą zaś wychodzą za zdobyczą, za którą uganiają się szybko. Na ostatnim stawie ogona mają osadzone żądło z przewodem, wydzielającym jad zebrany w woreczku. Skorpion uderzając ogonem, wpuszcza jad do rany zadanej ukłuciem, a najmniejsza jego ilość, zwłaszcza w krajach gorących, jak w Arabii, Indyach, dostateczną jest, ażeby zabić człowieka.

Skorpiony dzielą się na kilka gatunków, przyjmując za główną zasadę odróżnienia liczbę oczów, dochodzącą u niektórych do dziesięciu i dwunastu. W mitologii egipskiej skorpion uważany był za złego ducha.

P. Gr.



## W pustyniach Australii.

PRZEZ

Władysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

Poziom obniżał się widocznie, bo rzeka płynęła wartko, szemrząc donośnie po kamkach, rozrzuconych na piaszczystym dnie. Miejscami napotymano małe progi, utworzone przez odłamy skaliste, leżące w poprzek koryta; filary stawiały się coraz smuklejsze i wyższe; wiele z nich, zwłaszcza w pobliżu brzegów, przewróciło się, zapewne podczas powodzi, zaścietając szczątkami swymi ziemię, noszącą ślady działalności rozhułkanej fali.

O kilka mil poniżej wędrowcy ujrzeli szczególny kaprys natury; rzeka ginęła w sporej, podziemnej jaskini, sklepienie której wspierało się na licznych filarach. Tu i owdzie ten gmach zbudowany przez przyrodę porozwalał się i światło dzienne zaglądało przez wyłomy do środka, rozpraszając mrok.

— Patrzcie, towarzysze, zawołał Dugan, zatrzymując się u wejścia; mamy przed sobą dokument geologiczny, który wyraźnie nam okazuje pochodzenie filarów piaskowcowych. Ta rzeka płynęła kiedyś w znacznej części swego biegu pod powierzchnią ziemi; ona to i jej liczne przytoki, wyżłobiły we wnętrzu skały tysiączne galerie i utworzyła kolumny; kiedy sklepienie załamało się, tak jak tutaj, filary znalazły się na powierzchni.

Z zaciekawieniem zapuszczano się w głąb tej groty, przypominającej zupełnie ruiny gotyckiej świątyni i idąc środkiem koryta rzeki, przedostano się o paręset kroków niżej na otwarte powietrze.

— Oryginalny kraj! powtarzał doktor; zaczynam potrosze żałować, że niejestem geologiem. Zbadanie tych osobliwości przyniosłoby niemałą korzyść nauce. Gdybyśmy się nie potrzebowali tak spieszyć, zatrzymałbym się tutaj na parę tygodni.

— A to po co? zagadnął Jerzy.

— Przysięgłbym, że wewnątrz tej groty jest zamieszkane przez pewne szczególne gatunki owadów, które przystosowawszy się do panujących tutaj warunków, zmieniły odpowiednio swój ustrój. Kto wie, czy dzienne gatunki nie stały się pod działaniem ciemności nocnymi. Jest to całkiem możli-

wa rzecz. W Ameryce północnej, w grocie Mamutowej, odnaleziono wiele raczków i innych stworzeń, pozbawionych dla braku światła wzroku, a nawet i oczu. Uczeni, należący do wyprawy francuskiej na statkach „Travailleur” i „Talisman”, wydobywali z głębokości pięciu tysięcy metrów w morzu szczególne stworzenia, bardzo różniące się od tych, jakie zamieszkują warstwy wody, bliższe powierzchni.

— Czy także pozbawione oczu? zagadnął Jerzy.

— Nie, lecz zaopatrzone w organy, wydające światło. Natura jest niewyczerpana w swoich środkach, gdy chce dopiąć jakiego celu. Otóż przystosowywanie się istot żywych do warunków bytu wytworzyło gatunki i odmiany, zwierząt i roślin, stwierdzone przez uczonego angielskiego Darwina.

Podróżni obeszli dookoła groty, która, jak się okazało, była w wielu miejscach otwartą, tak jak gmacli, w murach którego porobiono wyłomy; słupy, podpierające sklepienie miały rozmaitą grubość; jedne były wąskie a smukłe, jak pnienie drzew, drugie znów mierzyły kilkadziesiąt kroków w obwodzie; wszędzie widniały ślady działalności wody.

Dugan pilnie upatrywał jakichkolwiek przedpotopowych muszli lub kości zwierzęcych, lecz nadaremnie, a bez tych wskazówek, niepodobno było oznaczyć, ile upłynęło czasu od utworzenia się pokładu piaskowca, żłobionego przez wodę.

Ponieważ słońce nachyliło się ku zachodowi, gdy podróżni ukończyli oględziny groty, więc rozłożono się na nocleg nad brzegiem rzeki. Wielbłądy, rozsiodłane, zaczęły skubać, skapo rosnącą na gliniastym piasku trawę, ich właściciele zaś gotowali przy świetle księżyca na spirytusie herbatę, gdyż dla braku drzewa nie mogli rozpaść ognia.

Niedostatek odpowiedniej paszy podkopał bardzo siły dromaderów; biednym zwierzętom kości i żebra dokładnie rysowały się pod skórą, garby zaś, będące, jak wiadomo, rezerwoarami tłuszczu, znikły zupełnie prawie.

Wędrowcom naszym groził także głód w perspektywie; cały zapas żywności składał się z czterdziestu kilogramów maki, kilku puszek konserw, dwóch niewielkich baryłek pekelflejsu, trochę cukru, stężonego mleka, czekolady i herbaty. Mogło tego wystarczyć najwyżej na sześć tygodni.

Pastuchy, uciekając, zabrali dla siebie przeszło drugie tyle żywności, a więc stosunkowo mieli jej dwa razy więcej na osobę. Gniewało to Dugana i jego towarzyszy, a to tem bardziej, że trudno było liczyć na polowanie w pustyniach, pozbawionych zupełnie zwierzyny.

— Od dziś zmniejszam racje o jedną trzecią, rzekł pan Artur, obliczywszy skrupulatnie zawartość skrzyniek.

— Nie mam nic przeciwko temu! odparł wesoło Jerzy; przyznam się nawet, że w taki upał nie chce się wcale jeść.

— I ja, dodał Abel.

— Doktor także dba więcej o owady, aniżeli o pekelflejsz i podplomyki, mówił dalej chłopiec, mrugając wesoło oczyma w kierunku Halma; jeden tylko Hops ma zawsze doskonały apetyt, muszę mu nawet udzielać co wieczór część swojej porcji, bo i tak wygląda nieszczególnie nieborak.

— Szkoda w każdym razie Morbory, bo on potrafiłby wszędzie znaleźć coś do jedzenia; ja, będąc wychowanym od dzieciństwa na łonie cywilizacji, zerwałem z przyrodą i nie mogę go zastąpić.

— No, jeszcze daleko do złych czasów, wtrącił doktor; mamy żywności, jak mówi Dugan, na dwa miesiące prawie, a z powrotem będziemy prawdopodobnie przebywali żyzniejszej okolicy i ty Jerzy znajdziesz znowu sposobność wykazania swej zrzeczności myśliwskiej.

— Daj Boże! westchnął chłopiec.

Pomimo najusilniejszych poszukiwań, które trwały przez dwa dni następne, podróżnym nie udało się odnaleźć śladu pastuchów; Bob chytrze się urządził.

Rzeka połączyła się znowu, jak to przewidział Dugan, w jedno koryto, lecz w dalszym ciągu jej biegu, na żadnym z brzegów nie odkryto nic podejrzanego.

— Czyżby zbiegowie obrali inną drogę? pytał sam siebie pan Artur, niezadowolony z rezultatów poszukiwań.

Przypuszczenie to nabierało prawdopodobieństwa w miarę tego, jak karawana oddalała się od miejsca, w którym na-



stąpiło rozłączenie. Ostatecznie więc Dugan musiał pogodzić się z myślą, że już nie odzyska zarobowanych wielbłądów i zapasów.

Nie będziemy tracił drogiego czasu! rzekł trzeciego dnia wieczorem; niech jednak nieponie strzegą się wpaść mi w ręce, bo nie myślę z nimi obejść się łagodnie. Taki postępek zasługuje na surową karę.

Podług nowych obliczeń, znajdowano się już w krainie osobiwości, albo też wkroczone w jej granice; ta okoliczność absorbowiała całkowicie umysły naszych podróżników i zniewoliła też ich zapomnieć o przykrem swem położeniu.

Nie jednak dotąd nie zwiastowało sąsiedztwa bliskiego ówch cudów, o których wspominał z takim entuzjazmem Wilski w swoim przedśmiertnym dokumencie. Do około rozciągała się kraina filarów, które, co prawda, stawały się coraz potężniejszymi i wspanialszymi. Wiele z nich wznosiło się do wysokości trzydziestu metrów i wyglądały bardzo imponująco. Karawana napotykała także od czasu do czasu groty, podobne do tej, którą oglądano przed trzema dniami, tylko jeszcze obszerniejsze i wspanialsze.

— Więc to jest owa kraina? powtarzał ciągle Jerzy.

— Niewiem, mój chłopcze, odpowiadał mu Dugan; zdo-bądź się na trochę cierpliwości, a przekonasz się. Musisz przyznać, że ta jaskinia i filary zasługują już same przez się na podziw; kto wie, czy Wilski nie miał ich właśnie na myśli.

Podróżni znajdowali się w stanie gorączkowego oczekiwania cudów, które lada chwila miały ukazać ich oczom tajemnicza przyroda australiska. Podróż niebezpieczna miała doprowadzić ich do upragnionego celu.

Jak on jednak wygląda? Czy nie miano doznać zawodu? Czy nagroda była dość wysoka, ażeby wynagrodzić trzymiesięczne trudy?

Odpowiedź na te wszystkie pytania, znajdowała się już niedaleko.

(d. c. n.)

## GASNĄCE PLEMIONA.

W Brazylii żyje plemię Botokudosów, które, niegdyś bardzo liczne, obecnie zaledwie parę tysięcy ludzi obejmuje.

Wiadoma to rzecz, że niektóre dzikie ludy, gdy zetkną się z przybyszami z Europy, z ich cywilizacją, obyczajami, zwolna giną, nie tylko w walkach z najeźdźcami, ale nawet wtedy, gdy nowoprzybyli mają zupełnie pokojowe względem krajowców zamiary, pragną oświecać ich, nauczyć wyższych zasad moralności, obznajmić z chrześcijańską religią i do niej nawrócić.

Któż z czytelników Wieczorów nie słyszał o misjonarzach, którzy porzucają ojczyznę, rodzinę, poświęcają wszystkie swoje osobiste uciechy i przyjemności, by Słowo Boże głosić dzikim ludom Afryki lub Ameryki, w której obok wspaniałego rozwoju cywilizacji, widzimy taką biedotę umysłową, jaką przedstawia na przykład, plemię Botokudosów.

Gdy w szesnastym wieku Portugalczycy odkryli, a następnie opanowali Brazylię, wtedy plemię owo zajmowało całą północną Brazylię, dzisiaj zaś zajmują tylko kilkadziesiąt kilometrów w bliskości miasta Bahia.

W przeciągu trzech wieków zatem, setki tysięcy czerwonych wygasło, a zapewne, za jakie lat sto, wygasną do szczętnie.

Należy więc przyjrzeć się im teraz, chociaż co prawda, Botokudosy wstrętne przedstawiają widok i to z własnej winy.

Dzikie ludy zwykle różnemi rysunkami pokrywają twarz, ręce i ramiona; wykonywują te ozdoby w sposób dość bolesny, gdyż wykluwają je na skórze, a powstałe ztąd ranki napuszczają odpowiednim płynem lub proszkiem.

Botokudosy jeszcze więcej bólu znoszą dla piękności na której jednak, my Europejczycy, wcale poznać się nie umiemy.

W dolnej wardze robią poprzeczne przecięcie, w które wkładają odpowiedniej wielkości płaski kamyk; tym sposobem dolna część ust naprzód podana tworzy rodzaj spodka. Nie dość na tem; dolna część ucha również przecięta, dźwiga także płaskie kamyki; zielone uchodzą za najpiękniejsze.

Możemy sobie wyobrazić, jak ślicznie wygląda ten ustrój Botokudos; głównie zaś kobiety hołdują tej modzie bardzo starożytnej, gdyż znajdujemy o niej wzmiankę w opisie podróżników, którzy pierwsi zawitali na grunt brazylijski.

Gdyby gasnące plemię miało więcej rozwiniętą inteligencję, bezwątpienia wynalazłoby sobie estetyczniejsze ozdoby; lecz ich umysł jest tak ograniczony, że rachować umieją tylko do dwudziestu; wyższa cyfra przechodzi ich pojęcie. W obec tego faktu, cóż dziwnego, że każdy wynalazek, bodaj maszyna do szycia, wydaje się im rzeczą nadprzyrodzoną, dziełem jakiegoś czarnoksiężnika.

Botokudosy nie należą jednak do plemion najbardziej upośledzonych umysłowo; jeszcze niżej od nich stoją Weddowie, drobna, z kilkusek ludzi złożona grupa, która zamieszkuje wyspę Ceylon. Ona również powoli wygasa. Weddowie lękają się niezmiernie obcych przybyszów, gdy który z nich zajrzy niebacznie do ich zagród, ukrytych w głębi lasów, wtedy gotowi są zadać mu śmierć, jeśli czempredziej nie zejdzie im z oczów. Porozumiewać się z nimi można na migi, gdyż poza obrębem ich siedzib nikt prawie nie zna ich bardzo ubogiej mowy. Przytem mają szczególną właściwość; nie mogą znieść widoku śmiejącego się człowieka i sami też nie posiadają ogólnie ludzkiej zdolności do śmiechu. Ten objaw wesołości wzbudza w nich gniew szalony; tupią wtedy, zgrzytają zębami, wydając głuche, gardłowe okrzyki i wywijają drżącemi rękami.

Dzika nieprzystępność Weddów, niezmiernie utrudnia zbadanie ich wiary, pojęć lub zwyczajów. To też nie prawie o nich więcej nie wiemy, nadto, co podajemy na tem miejscu.

W Australii istnieje również ludność, która zdaje się, wchodzi obecnie w okres powolnego wygasania. Mamy tu na myśli mieszkańców wysp Nowej Zelandyi. W porównaniu z Weddami możnaby ich ochrzcić nazwą geniuszów. Misjonarze wykorzenili już z tych wysp pogaństwo, a łagodny charakter, wesołe, uprzejme usposobienie krajowców, bardzo sympatycznie usposabia podróżników, których własna chęć lub wypadek do tych wysp zawiedzie.

Nie jeden Europejczyk może pozazdrościć Nowo-Zelandczykowi jego przymiotów. Dość powiedzieć, że kradzież, pijaństwo, należą tam do niezmiernie rzadkich i srogo karanych występków. Jeśli Nowo-Zelandczyk posprzecza się z kimkolwiek, wtedy najgorszą obelgą, jaką rzucić umie, jest: „ty dzika kaczko”.

A jednak ten łagodny naród, dawniej odznaczał się wielką wojowniczością. Teraz jednak, w spokoju i weselu używa darów, bardzo hojnej tutaj przyrody.

Kawa i bawełna — to główne źródła bogactwa narodowego.

Zbiera je kto chce, bez trudu i wielkiej pracy.

Rośliny nie wymagają tutaj wcale uprawy. Całe lasy bananów, pomarańcz i palm kokosowych, dostarczają rokrocznie tyle owocu, ile go kto zebrać potrafi.

Pomimo tych szczęśliwych warunków, zauważono, że ludność wysp zmniejsza się rokrocznie, choć w małym stopniu.

Anglicy rozciągnęli nad wyspami Nowej Zelandyi swoją opiekę, lecz jeśli pociągnięci łatwym zyskiem zaczęli zakładać tu handlowe kolonie, wtedy z pewnością ścieśnią dotychczasową swobodę spokojnych krajowców, utrudnią im łatwość życia, przez co przyspieszą niewątpliwie wygaśnięcie tego, na pół tylko dzikiego plemienia.

A. M.



# SYN MARNOTRAWNY

POWIEŚĆ

E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg).

Julcia całym wysiłkiem woli ukryła przykrość, jaką jej to odezwanie brata zrobiło i podnosząc na niego swoje jasne jak niebo oczy, zaczęła mu opowiadać o pani Bielińskiej, którą uwielbiała.

i mimowoli wpadała w zapał, więc teraz spostrzegłszy, że się uniosła, zamilkła nagle i spuściła oczy.

— Ja go pewnie znudziłam mojem gadaniem, pomyślała.

Wtem Lucyan podszedł do niej i ujmując jej rękę wyrzekł dziwnie miękkim głosem:

— Jeżeli słowa moje zrobiły ci przykrość, to przepraszam cię bardzo Julciu!

Jej miałyby zrobić przykrość słowa Lucyana? Ależ nigdy w życiu. Przykro jej tylko było, że on nie miał odpowiedniego dla siebie towarzystwa, ani rozrywki w domu ojca, to też ucieszyła się bardzo, gdy w parę dni potem, pan Kownacki, bogaty obywatel z okolicy, dawny sąsiad ojca, przybył prosić pana Rodowskiego na dzień swoich imienin i naturalnie zaprosił i Lucyana.



G e n u a.

— Jaka ona dobra! Wszystkie biedne dzieci w całym miasteczku żywi przez zimę. Tak, zbiera je i daje im obiady; zna je wszystkie po imieniu i z nazwiska rodziców; dziewczynki biedne, czy bogate, zarówno uczy szyć, haftować, robić szydełkiem. A jaka przytem wyrozumiała, łagodna, wesoła. Dobra jest dla wszystkich, ale szczególnie umiłowała dzieci. Niektóre sprawiają jej wiele zmartwienia, szczególnie chłopcy, są pomiędzy nimi wielkie łobuzy, ale ją nic nie zraża, zawsze ma nadzieję, że najgorszy może się poprawić, gdy zechce.

— Ach! powiadam ci Luciu, że to święta kobieta. Ma po mężu, który był urzędnikiem, pięćset rubli, mieszka przy bracie, księdzu proboszczu, wszystko zaś, co mają we dwoje, idzie dla biednych i potrzebujących.

Julcia, tak zwykle nieśmiała i małowówna, gdy szło o tych, których kochała, stawała się wymowną, odważną

Zgromadzenia w domu państwa Kownackich bywały bardzo świetne. Ojciec odmówił, gdyż od czasu śmierci żony nie bywał na podobnych zabawach, ale Lucyanowi nie przeszkadzało być samemu.

— Wszak będziesz tam, Luciu, prawda? zachęcała brata Julcia, rozerwiesz się trochę.

— A ty będziesz? zapytał.

— O! nie, odrzekła z żywością.

— Dlaczego?

— Państwo Kownaccy są bardzo bogaci, zaczęła się tłumaczyć, wiele osób z najwyższego towarzystwa przybywa do nich na ten bal z Warszawy, toalety są zazwyczaj bardzo eleganckie, potrzebaby mi nowej sukienki; nie chcę ojca narażać na wydatek... Spostrzegła się i umilkła zarumieniona.

Lucyan się zasepił.



— To i ja nie pojadę rzekł pochmurnie; ale doznał większej przykrości, niż chciał się przyznać sam przed sobą, na myśl wyrzeczenia się tej ponętnej rozrywki.

— O! Luciu, nie zrobisz tego! zawołała z żywością Julcia. Obrzuciłbyś tem państwa Kownackich, zresztą, przecież... ja bez ojca, a tylko z tobą, nie mogłabym się znajdować na takiej zabawie.

Lucyanowi tak się uśmiechała myśl przyjemności, że dał się przekonać po lekkim zaledwie oporze.

— Tylko jedno jeszcze, moja Julciu, wyrzekł po niejakiem wahaniu, powiedz Franciszkowej, niech na miłosierdzie Boże, choć na ten raz jeden porządnie uprasuje gors przykoszuli, bo tak, jak ona to robi, będzie coś niemożliwego przy garniturze frakowym.

— Ach mój Boże! zasmuciła się Julcia, że też ja o tem wcześniej nie wiedziałam. Nie obawiaj się Luciu, już ja dopilnuję, będziesz miał wszystko, tak jak trzeba.

Parę dni poprzedzających zabawę u Państwa Kownackich zeszło na zwykłych zajęciach. Lucyan wyręczając ojca, chodził do głądać robotników, a podczas rzadkich chwil spędzanych w domu, bawił się z małą Zochną, niekiedy porozmawiał ze Stasiem, który cały czas wolny spędzał nad swoją fabryką.

Pewnego razu zwrócił jego uwagę, że boki wózka, który świeżo wykończył dla Zosi, miały rysunek nierównomierny, stąd wyglądały krzywo. Staś słuchał bacznie objaśnień brata, którego uwagi otworzyły mu oczy na wady w jego robocie.

— Tak, to prawda, powiedział z uwagą, muszę całą robotę moją obejrzeć.

Zniósł wszystkie wózki, które wykonał dla Zosi; było ich aż sześć. Zaczął je uważnie oglądać i sam wykazywał wady, których dotychczas nie widział:

— O proszę Lucyana, to jest krzywo i to także chybione.

Zadne z dzieł rąk jego nie zadowolniło go. Westchnął i stał chwilę w milczeniu, poczem wziął w ręce cążki i najspokojniej zaczął wyciągać sztyfciki stanowiące osie u wózka.

— Proszę Lucyana, ale kółka są równe, prawda? odezwał się znów.

— Tak, kółka równe zupełnie.

— Dyszle się też przydadzą, szepnęła do siebie.

— Oóż ty robisz? zapytał brat, widząc, że Staś od wszystkich wózków odjął kółka i dyszle, a z pozostałych eleganckich wolantów, powozików i prostych drabinek ułożył stos bezkształtny.

Staś odpowiedział spokojnie:

— Kółka są dobre i dyszle się też przydadzą, a to — wskazał na stos wózków — ponieważ źle zrobione, zniszczę wszystkie, a inne lepiej zrobię.

— Jakto, i nie będzie ci żal twojej pracy?

— Ha, trudno, jak się co źle zrobi, trzeba zrobić drugi raz lepiej.

— Lecz i drugi raz możesz chybić.

— To dotąd muszę robić, aż zrobię całkiem dobrze, odrzekł Staś ze spokojnem postanowieniem.

— Ktoby przypuszczał, że ten chłopiec ma tyle wytrwałości, wyrzekł jakby do siebie ze zdziwieniem Lucyan i popadł w smutne zamyślenie, co się teraz u niego nieustannie powtarzało. Po jakimś czasie wstał i wziął za kapelusza.

— Słuchaj, Stachu, rzekł zwracając się do braciśzka, chcesz, to chodź ze mną w pole, będą wracać wozy z sianem, to wrócisz do domu.

— Ach dobrze, wykrzyknął Staś z radością zrywając się.

Idąc ze Stasiem Lucyan na połowie drogi spotkał wozy naładowane sianem.

— Co! takeście się pospieszyli, że już wracacie z sianem, zawołał Lucyan.

— A tak, panie, odrzekł wesoło młody chłopak, który powoził.

— To dziś prędko skończymy.

— Ii, za dwie godziny nie będzie co robić.

— To słicznie, powiedział Lucyan i poszedł dalej z małym bratem.

Na łące ludzie grabili siano w kopki, które następnie składano w duże drabiniaste wozy; robota szła żwawo, Staś pociągnięty ogólnem zajęciem, ujął grabie porzucone przez jednego z robotników i zaczął zgarniać siano, ciesząc się, gdy mu się udało wyprzedzić którego z dorosłych, następnie, gdy wóz został wyładowany, wdrapywał się na sam wierzchołek i jechał do domu, aby następnie powrócić znowu pustym wozem.

Gdy ostatni wóz został wyładowany, a Staś umieścił się na szczycie, Lucyan wracając, postępował w odległości kilku kroków za toczącym się wozem.

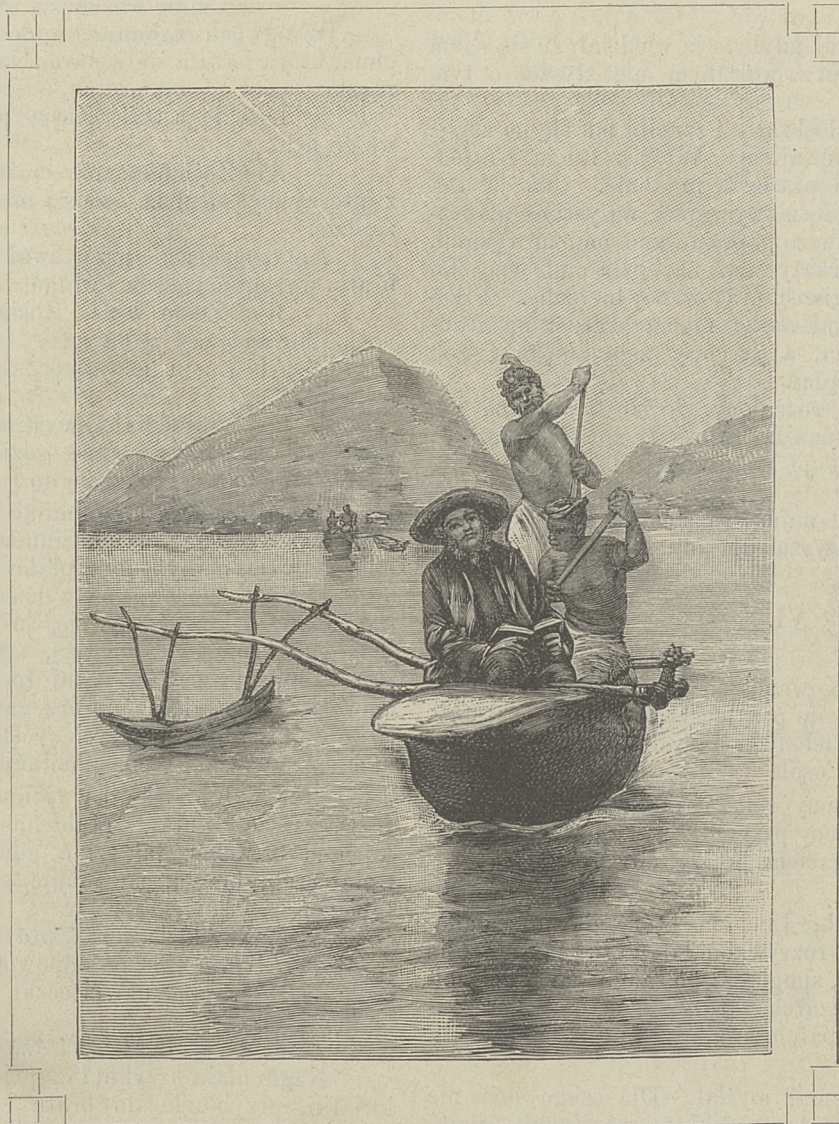
— Lucyanie, czy mogę zostać przez cały ten czas, jak będę układać ściany w zasieku? zapytał się Staś, gdy wóz wjeżdżał w bramę.

— Możesz, odezwał się brat.

— Bo Julcia kazała mi, żebym ją uprzedził, jak Lucyan będzie wracał do domu.

— No, no, wszystko jedno, ja sam uprzedzę Julcię.

Lucyan wszedł do domu; w pobliskim pokoju nie było nikogo; mniemając, że Julcia miała do niego jakiś interes, skoro się kazała uprzedzić Stasiowi o jego nadejściu, zaczął po całym domu szukać siostrzyczki; nie było jej ani w dzie-



Łódź rybacka (str. 280).



cinny, ani w jadalnym pokoju; roztworzył drzwi do ostatniego pokoiku przed kuchnią i stanął na progu, patrząc przed siebie z wyrazem nadzwyczajnego zdziwienia. Julcia stała przy stole i — Lucyan nie chciał wierzyć własnym oczom — pochyłona nad żelazem, prasowała sztukę bielizny nadzwyczajnej białości. Drobniemi swemi rękami obejmując rączkę żelazka, przesuwiała je zwolna, przyciskając silnie, aby jej nadać piękny połysk; gorące rumieńce wystąpiły na jej śliczną twarzyczkę, na czole miała krople potu, jasne włosy osunęły jej się na skronie, ale dokonała dzieła: gors błyszczał jak lustrzany; uśmiech wielkiego zadowolenia zarysował się na ustach Julci.

— Julciu! co to jest? krzyknął Lucyan.

Teraz dopiero spostrzegła obecność brata i spuściła oczy jak winowajczyni, ale podniosła je natychmiast i rozśmiała się wesoło.

— Po coś tu przyszedł? Idź sobie! zawołała, naśladując Zochnę.

— Ach Julciu! Julciu! gdybym ja wiedział, że się sama będziesz trudzić, wołałbym... wołałbym nie słyszeć o tym balu.

Julcia przyskoczyła do brata i rzuciła mu się na szyję.

— No, cicho! nie gniewaj się. Widzisz Luciu, Franciszkowa dobra kobieta, ale prasować nie umie. Cóż ja tak wielkiego zrobiłam? To rzecz zwyczajna, wszystkie fartuszki i sukieneczki Zochny zawsze poprasowane moimi rękami. pani Bielińska, ona taka praktyczna, nauczyła mnie sposobu nadawania sztywności i glansu prasowanej bieliznie. Przecież w takim miasteczku jak nasze niema praczek na zawołanie. Cóż robić jak niema, a ja chcę, żeby mój braciszek ładnie przecież jutro wyglądał.

Ale Lucyan był tak rozżalony, że siostra niczem nie mogła go uspokoić. W końcu lzy zakreśliły mu się w oczach, ujął ręce Julci i przycisnął je kilkakrotnie do ust, pomimo, że mu tego wzbraniała.

— Moja najdroższa, najmilsza siostrzyczko, szepnął, twoja dobroć, to... tylko wyrzut dla mnie..

## VI.

Zabawa u państwa Kownackich była bardzo świetna.

Pokoje przeznaczone do przyjęcia gości były przystrojone wieńcami z jedliny i zielonych liści, oświetlenie rżesiste, muzyka wyborna, mnóstwo osób.

Gdy Lucyan wyświeżony rękami siostrzyczki zjawił się w salonie, państwo Kownacy przyjęli z niezmierną życzliwością syna dawnego przyjaciela, który odrazu znalazł się w wirze zabawy,

Dziwna rzecz jednak, Lucyan, który dawniej oddawał się z takim zapałem rozrywkom, dziś czuł się zupełnie nieusposobiony do zabawy, spoglądał po salonie, a widok miłych, młodziutkich dziewczątek, które wśród dorosłych panien tańczyły z całym zapałem młodości, przywiódł mu na myśl Julcie.

Dla czego jej tu niema? myślał. Dla czego ona nie może użyć rozrywki, jak te dziewczeczki w jej wieku? Przecież nie ustępuje im pod żadnym względem, gdzie zaś! przewyższa najpewniej nie jedną z nich swemi zaletami.

Myśl jego uciekała co chwila z pośród balowego salonu, a wędrowała do skromnego ojcowskiego domu; widział Julcie, jak w jadalnym pokoju krząta się około przyrządzenia ojcu i dzieciom wieczornego posiłku, albo siedzi przy lampie szyje sukieneczki dla Zochny, lub przepowiada lekcye ze Stachem.

— Drogie, kochane stworzenie! zawsze tylko myśli o innych, a nigdy o sobie, westchnął w duszy i uczuł, że ta siostrzyczka, dobra, łagodna, rozumna, droższą mu była nade wszystko w świecie i że życie własne oddałaby za nią.

— Tak, myślał dalej, ja tutaj jestem i bawię się w najlepsze, a ona pracuje jak zawsze. Czuję brat ze mnie! niema co mówić.

Gdy dał folgę tym myślom, zrobiło mu się tak smutno i nieswojo, że nawet nie miał ochoty do tańca i jak mógł najwcześniej opuścił zabawę, a wrócił do domu.

Nazajutrz rano Julcia pytała go z radosnym uśmiechem przy śniadaniu:

— Cóż, bawiłeś się wczoraj dobrze, Luciu?

Owszem, dosyć, odrzekł Lucyan i pochylił głowę, bo mu się wstyd zrobiło ojca, któremu w tej chwili przypisywał myśl, o jakiej panu Rodowskiemu ani się nawet śniło: coż on innemu, potrafi, jak bawić się? Całe dwa lata zamiast się uczyć i pracować na wyższych kursach zmarnował.

W parę godzin po obiedzie Lucyan odezwał się do Stasia.

— No cóż, Stachu, dzisiaj niedziela, nie będziesz prowadził swojej fabryki, może pójdziesz ze mną w pole?

A Staś odpowiedział z wielką radością:

— Jeżeli mnie weźmiesz, to i owszem.

We dwóch zabierali się do odejścia, gdy malutka Zochna, która bawiła się w swoim kąciку, zawołała wyciągając rączki:

— I ja, i ja też! Zosia pójdzie z Luciem. Luciu! weźże ją!

— Ale Zosieńko, nie można, pośpieszyła śmiejąc się z interwencyą Julcia. Zosia ma nóżki malutkie, daleko nie zajdzie.

Ale dziecina nie przestawała przymilać się do starszego brata, wyciągać rączek i wołać,

— Weź Zosię, weź! Zosia pójdzie też!

Lucyan wziął ją na ręce.

— Ale Luciu zmęczysz się doprawdy, zaczęła robić uwagi Julcia.

— Ha! powiedział Lucyan żartując, jak będę miał z nią wiele kłopotu, to ją wrzucę gdzie w rów przy drodze. Co? dobrze, Zochna, wrzucić cię do rowu?

A mała istotka, obejmując go silnie za szyję, odpowiedziała szczebiocząc po dziecinnemu:

— Nie, bo by Julcia płakała.

Lucyan skierował się z dziećmi ścieżką w stronę jeziora. Szeroko rozciągały się tu łąki, porośłe przy brzegu głogiem, tarniną i dziką różą, środkiem zaś prowadziła zosia, wysadzana srebrzystymi topolami. Chociaż na łąkach trawa już była ściętą, po brzegach jednak, wśród krzewin, rosło mnóstwo kwitnących roślin: różowe goździki polne, niebieskie dzwonki, niezapominajki.

Starszy brat usiadł w cieniu rozłożystej topoli, a dzieci zaczęły rwać kwiatki. Maluchna Zochna szczebiotała wesoło sama do siebie, jak tylko udało się jej znaleźć jaki ładny kwiateczek, biegła, trzymając go w rączce do brata, wołając:

— Ładny kwiateczek, prawda?

— A! jaki śliczny, odpowiadał Lucyan.

— Zosia kocha kwiateczki, mówiła, kiwając z zadowoleniem główką.

— Bo Zosia grzeczna dziewczynka, odpowiadał brat.

Nagle mała krzyknęła z przestachem, wypuściła z rąk kwiatki, przybiegła do brata i zaczęła się do niego tulić szepcząc:

— Oj, oj! Zosia się boi.

— Czego się Zosia boi? pytał Lucyan.

Ale nie umiała mu wytłómaczyć, tylko powtarzała: Zosia się boi.

— Stasiu! zawołał starszy brat, czego ona się zlekła.

A Staś nadbiegając odpowiedział ze śmiechem:

— Skoczyła jej na rączkę żaba.

A Zosia trzęsąc główką od strachu, szepnęła:

— Tak, żaba! Żaba Zosię ugryzie.

— Ach ty mały tchórze! mówił Staś całując siostrzyczkę. Zeby się tak żaby zleknać. I to nie żadnej dużej żaby, ale takiej malutkiej, zielonej żabki! z tych, co to łażą po drzewie. O! i tutaj taka skacze.

A Zochna w przystępie nowego strachu zaczęła wołać:

— Oj! skacze, Zosia się boi!



Lucyan złapał skaczącą zieloną żabkę, a przytrzymując drugą ręką małą siostrzyczkę, która nie przestawała tulić się do niego, cała zaczerwieniona od strachu, zawołał wesoło.

— Ale to śliczna żabka! spójrzno Zochna! Żabki to grzeczne stworzenia, one nie gryzą, no, pogłaskaj ją.

A Zochna wyciągając szyjkę, zaczęła się przyglądać żabce, którą brat przytrzymywał w ręku, i nagle zawołała z radością.

— Żabka ma oczki!

— A widzisz! i nóżki ma, i taka śliczna, zielona na wierzchu.

Zochna wyciągnęła paluszek i delikatnie zaczęła głaskać żabkę, powtarzając z radością:

— Zosia się już nie boi. Zosia kocha żabki

Teraz Lucyan, jak gdyby sobie coś przypomniał, powstał i prowadząc dziewczynę za rękę, powiedział:

— A no, to kiedy Zosia taka grzeczna, to Lucio pokaze coś Zosi.

Skierował się ku krzewinie głogu i rozchyliwszy gałęzie pokazał dzieciom gniazdko piskląt pełne. Śliczne to były pisklęta; było ich czworo, piórka miały co prawda szare, z jaśniejszym tylko odcieniem na gardziółkach, ale oczki takie żywe, okrągłe, jak paciorki, przytem zadzierały tak zabawnie dzióbki, roztwierając je szeroko.

Staś pochylony nad gniazdkiem, z nadzwyczajnem zajęciem śledził ptaszki, gdy Zosia, uderzywszy w rączki radośnie, wykrzyknęła z uniesieniem:

— Zosia kocha ptaszki!

Starszy brat uniósł ją w górę.

— Moja Zochna! ona wszystko kocha: i kwiatki i ptaszki i żabki. A Lucia kochasz ty. Co? zapytał.

— Zosia kocha Lucia.

— Bardzo?

Objęła go za szyję i zaczęła ścisnąć z całej siły.

Lucyan poleciwszy Stasiowi podnieść kwiatki Zosi, zabrał dzieci, aby z nimi wrócić do domu, kiedy Staś odezwał się do niego.

— A możebyśmy wrócili teraz inną drogą.

— I owszem, chodźmy.

Udali się wszyscy troje drogą wysadzaną topolami, gdy nieopodal ukazał się wzgórek cmentarny okolony murem. Lucyan i Staś mały odkryli głowy, gdy Zochna, zwracając się do starszego brata zaszczębiotała, wskazując paluszkami w stronę cmentarza.

— Mamusia tam jest!

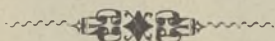
Biedactwo! szepnął Lucyan, wie, że jej mamusia tam jest i przyszło mu na myśl, że do tej pory, nie był jeszcze na grobie tej, która sercem zastępowała mu rodzoną matkę.

— Chodźcie, pójdziemy tam, zwrócił się do dzieci.

— Ach tak, zawołał Staś, zaniesiemy mamie kwiatki, cośmy z Zochną narwali; robimy tak zawsze, jak chodzimy z Julcią.

W kilka chwil później Lucyan z dwojgiem młodszego rodzeństwa znalazł się głęboko wzruszony wobec pomnika, z napisem: *Zofia Rodowska*.

(d. c. n.)



## GENUA.

Wspaniałe to miasto, którego dziejowa przeszłość sięga jeszcze potężnego panowania Rzeczypospolitej Rzymskiej, upamiętnione następnie urodzeniem Krzysztofa Kolumba, usprawiedliwia nadany sobie przydomek.

Włosi bowiem nazywają je z dumą: „*Genua la superba*” (Genua pyszna) i taką też jest, nawet pod względem swego położenia. Starożytne jej gmachy, nie powszedniej struktury i bogactwa, kąpią swe szczyty w lazurowej po-

wierzchni morza Śródziemnego, tworzącego tu zatokę Genueską, a wygodny port, do którego corocznie zawija po kilka tysięcy okrętów, ze swoim lasem masztów i szeregami wysokich kominów na licznych parostatkach, zdaje się tworzyć jakieś odrębne miasto, pełne gwaru i ruchu. Rano i wieczór z wieżyc stu kościołów, odzywają się poważne dzwony, pobudzając mieszkańców do czci Najwyższego, który to pyszne miasto w pośród tyłu wojen i zmian politycznych, zachował od zguby i dotąd osłania swą opieką.

Nie znać tu nawet owej gnuśności i nieporządku, jaki powszechnie, a poniekąd i słusznie przypisują Włochom, nie widać brudnych lazzaronów, poroziąganych na słońcu, ani tłumu żebractwa, wyciągającego natrętnie rękę po jałmużnę, liczne bowiem fabryki zajmują pracą mnóstwo ludzi, a nad ubóstwem, czuwają mądrze uorganizowane zakłady dobroczynne. Tu także na każdym niemal kroku, widzieć można zabytki szlachetnej pracy zeszłych pokoleń, rozwój przemysłu i wysokie zamiłowanie sztuk pięknych.

Z pomiędzy tych ostatnich architektura i malarstwo, najwybitniejsze zajmują miejsce. Starożytny zamek, przypominający dawną niepodległość Genueskiego księstwa, oraz pałac książęcy (*Palazzo ducale*) są to gmachy imponującej piękności i ogromu. Niemniej również wspaniałym jest pałac arcybiskupa, mającego tu swoją rezydencję.

Uniwersytet genuński posiada ustaloną sławę, szerzącą się daleko poza granicami rodzinnego kraju. Istnieje tu również mnóstwo zakładów tak zwanych średnich, dających sposobność młodzieży do kształcenia się w rozmaitych gałęziach wiedzy.

A nadto, ta pyszna Genua, dumna ze swoich bogactw i dziejowej przeszłości, objęta wspaniałą ramą Apeninów i zatopiona uśmiechniętym obliczem w zwierciadle swojej zatoki, umie także korzystać i z bujnej roślinności, rozsypanej dokoła przez hojną naturę; w okolicach jej bowiem, wśród gęstych plantacji morwowych, hoduje się bardzo wiele jedwabników, dostarczających tamtejszym fabrykom obfitego materiału, na piękny aksamit i inne wyroby, będące przedmiotem rozległego handlu.

Wykwintne wyroby ze złota i srebra, zajmują w przemysle genuńczyków także niepoślednie miejsce.

— 33 —

## CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

— Bo istnieje też różnica w narodzie, — potwierdził Francolin, cechą Francuzów jest przedewszystkiem grzeczność i uprzejmość dla każdego.

— Cóż chcecie, moi drodzy, każdy naród, zarówno jak pojedynczy człowiek, ma swoje charakterystyczne znamiona, rzekł wchodzący właśnie Ponchard, pozwólcmy Anglikom zachować je nadal, gdy dotąd, przez długie wieki cywilizacji nie zdołali ich się pozbyć.

Rankiem dnia 29 listopada straża obserwatorium sygnalizują ukazanie się wysp Cooka, które leżą między 20° szerokości południowej a 160° długości zachodniej. W archipelagu tym wyróżniają się ziemie: Raratonga, Watim, Mitio, Herweya i Palmerstona, najważniejszą jednak, najwięcej zaludnioną i stolicą dla wszystkich jest niezbyt wielka Mangia.

Miejscowa ludność malajska mimo, że przyjmuje chętnie misjonarzy angielskich, stara się zachować swą niezawisłość i mniema, że się jej to całkowicie udaje, dopóki ma swe



go monarchę. Niestety są to tylko pozory, Anglicy bowiem przez gorliwych swych misjonarzy powolny, lecz coraz większy wpływ rozciągają nad temi ładaniami, czekając tylko chwili sposobnej, by zająć je pod wyraźny swój protektorat,

Plan podróży wskazuje Cudownej wyspie całe dwa tygodnie spoczynku przy tym archipelagu, ku wielkiemu zadowoleniu Ponchara, który spodziewa się znaleźć tu wreszcie chociaż jeden okaz człowieka całkiem dzikiego, może jeszcze ludzereę.

Tymczasem, gdy pan Ethel Simoe popłynął do Mangii na odległość jednej mili tylko, w łodzi, która wysunęła się z przeciwległego portu i podążała śmiało do Tribor-Harbour, przybył misjonarz angielski, pełniący na dworze panującego króla, obowiązki ministra albo raczej wszechwładnego pana, wyzyskującego materialnie na swą korzyść uciemięzaną i w zupełnej ciemnocie zostającą ludność, trzymaną w karchach posłuszeństwa z pomocą wybranej w pośród krajowców policji „mitoi” zwanej, przed której potęgą, drżą nawet nieudolni tych wysp królikowie.

Otyła, przysadkowata postać przybyłego jegomości o twarzy pełnej, i chytrym wyrazie w oczach, niczem nie wskazuje człowieka, mającego jakiegokolwiek szlachetne instyktai uczucia.

Na powitanie takiego gościa wyszedł dyżurny oficer.

— W imieniu jego królewskiej mości, a łaskawego mi pana — rzekł przybyły, po ceremonialnej zamianie ukłonów, przybywam z pozdrowieniem dla jego ekscelencji gubernatora Standard-Islandu.

— Powierzono mi honor przyjęcia takowego, zanim gubernator nasz zdąży powitać osobiście panującego w Mangii monarchę, — odrzekł oficer.

— Jego ekscelencya będzie zawsze mile widzianą, — odpowiedział minister, którego wstrętna fizyonomia, zdaje się być urobioną z chciwości i przebiegłości. Czy stan zdrowotny wyspy jest zadawalniającym? — zapytał po krótkiej przerwie słodkim jakimś głosem.

— Jak zwykle i teraz nie przedstawia nic do życzenia.

— Może jednak tyfus, influenza lub ospa.

— Ani nawet epidemiczny katar, panie ministrze, nie trapi zdrową zawsze ludność naszą, — zapewniał wypytany.

— Więc mieszkańcy Standard-Islandu mają zamiar wyładować...

— Tak jest, chcemy zwiedzić te wyspy podobnie, jak to czyniliśmy w innych ziemiach Oceanu Spokojnego.

— Jego królewska mość, miłościwy pan mój, nie sprzeciwia się temu bynajmniej, jeżeli tylko opłacicie ustanowioną takse.

— Takse?... Cóż to znaczy?

— Och drobnostka tylko! dwa piastry \*) od osoby...

— Czy to seryo — pytał zdumiony oficer, który służąc już lat dwa na Standard-Island dotąd nie słyszał nigdzie o podobnych warunkach.

— Zupełnie seryo, i w braku uiszczenia tej sumy, nie wpuścimy nikogo na naszą wyspę...

Oficer pożegnał sztywnym ukłonem wstrętną postać przybyłego i pośpieszył telefonicznie zakomunikować panu Simoe otrzymaną co dopiero wiadomość.

Niemniej zdziwiony komandor udzielił jej bezzwłocznie gubernatorowi wyspy, który zwołał radę, mającą zdecydować o przyjęciu lub odrzuceniu, nigdzie nie praktykowanych warunków.

Oburzenie na podobny wyzysk, będący powodem tego, wyłącznie dla miliardowego miasta ustanowionego prawa, było tak wielkie, iż uradzono, że Cudowna wyspa nie zatrzyma się, nietylko u brzegów Mangii, ale nawet u żadnej innej ziemi tego archipelagu.

Bezzwłocznie tedy ruszono dalej wśród wielkiej ilości rybackich łodzi najpierwotniejszej budowy, gdyż wyłobionych tylko w jednym kawale grubego pnia odwiecznych drzew miejscowych, lecz kierowanych przez lud rosły i muskularny, który odważnie puszcza się na głębiny dla połowu wielorybów, dość obfitych w tych stronach oceanu.

Bujną zielenią pokryte wyspy, świadczą zdaleka o urodzajności gruntu, tłómacząc zarazem chciwość zaborczej ręki angielskiej.

Dnia następnego ukazują się w niewielkiej odległości ziemie Raratonga z pasmem gór, porośniętych aż do wyniosłych szczytów gęstą zielenią lasów, po nad którymi widnieje jeszcze olbrzymi wulkan, wyrzucający gęsty dym i parę.

Blisko wybrzeża, w pośrodku wioski, strzelają ku niebu wieżycy pięknej, w stylu gotyckim, świątyni. Jest to kościół protestancki, ognisko misji angielskich, z kąd rozchodzi się na cały archipelag światło zasad moralności, wraz z potężnym wpływem politycznym.

Chociażby rezydujący tu pastor okazał się mniej chciwym na srebrne piastry, Cyrus Bikerstaff nie zamyśla już wcale zbliżać się do wysp jakiegokolwiek, zostających chociaż by pod pośrednim wpływem Anglii, a na walnem zgromadzeniu rozbiegano tegoż dnia jeszcze kwestyę, zmiany planu podróży dla Standard-Island. Bo czyż nie lepiej i przyjemniej zawinąć do brzegów Nowej-Kaledonii i archipelagu Loyalty, gdzie można się spodziewać od władz francuzkich równie przyjemnego powitania, jak na wyspie Taiti? .

Ale kierując się w tamtą stronę oddalono by się znacznie od Nowych Hebrydów, więc wiadomość ta wywołuje najwyższe zaniepokojenie wśród malajskich rozbitków, i ktoby był posłyszał wtenczas burzącego się kapitana Sorela, mógłby łatwo powziąć pewne podejrzenia, odnośnie do ukrywanych starannie jakichś planów.

Na szczęście jednak dla malajczyków, a na nieszczęście dla Standard-Island, nowe projekta zostały na ogólnem posiedzeniu większością głosów odrzucone, a uchwalono tylko, by owe dwa tygodnie, przeznaczone wyspom Cooka, przepędzić u brzegów Samoa, rozkładających się w północno-zachodnim kierunku.

(d. c. n.).

\*) Piastr moneta srebrna, równająca się 10 frankom.

#### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

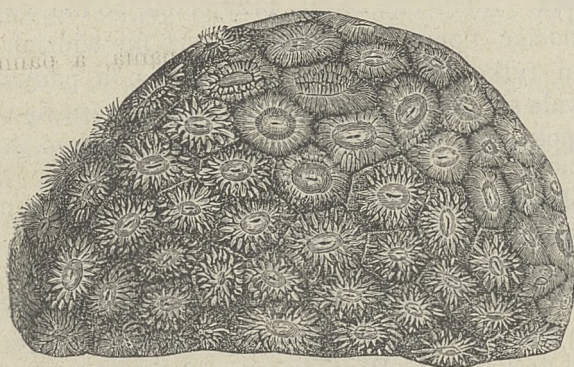
**TREŚĆ:** Skorpion, przez P. Gr., (z drzew.). — W pustyniach Australii, przez Władysława Umińskiego. — Gasnące plemiona, przez A. M. — Syn marnotrawny, powieść przez E. Jerlicza. — Genua, (z drzew.). — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D., (z drzew.). — Dodatek: Pogadanka z cicią (z drzew.). — Jaś i piesek, wiersz przez Z. Morawską — Zawiedzione nadzieje, komedijka p. N...kę, (dokończenie). — Dzielný Julek, p. Marzannę. — Szarady, łamigłówki i rozwiązania — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na dworze landgrafów Turynii, opowiadanie Teresy Jadwigi.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Дозволено Цензурою, Варшава 14 Аврета 1895 г. Wydawczyni **Maryna z Chomętowskich Balińska.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



# WIECZORY RODZINNE



## POGADANKA Z CIOCIĄ.

### KORALE.

Na stoliku ciotci Rózi, leżał spory biały kamień, cały pokryty drobnymi otworkami.

Ośmioletnia Mania, lubiła bardzo przychodzić do pokoju ciotci i słuchać jej opowiadań, szczególnie o szarej godzinie.

Dzisiaj zaszła tu znowu, lecz słońce jeszcze świeciło i ciotcia czytała książkę. Dziewczyka obejrzała kwiatki ciotci, zauważyła trzy pączki na róży, nowy liść na begonii a raz wraz spoglądała na ciotkę, czy ciągle jeszcze czyta.

Na szczęście, ciotcia złożyła książkę, a Mania poskoczyła z radości na ten widok.

— Moja droga ciotciu, zagadnęła, dlaczego to ciotcia trzyma na stoliku taki zwyczajny kamień.

— Zwyczajny? powtórzyła ciotcia. A ja sędzę, że u nas taki kamień trudno znaleźć.

— O, ja ciotci taki sam przyniosę z pola jak tylko przyjdą wakacje i pojedziemy na wieś, do babci.

— Bardzo wątpię, roześmiała się ciotcia, bo takie kamienie znajdujemy w morzach lub w górach, a ty wiesz że u babci morza niema.

— Ani gór, dodała Mania. A jakże się ten morski kamień nazywa.

— Koral, odpowiedziała ciotcia.

Dziewczynka ze zdumieniem na nią spojrzała.

— Ciotcia dzisiaj żartuje ze mnie, zawołała wreszcie. Przecież koral jest czerwony, a takie białe kamienie doprawdy widywałam w polu.

— Nie Maniu, wcale z ciebie nie żartuję, zaprzeczyła ciotcia Rózia, tylko rozmaite bywają koral, białe, zielone, brunatne, a wreszcie czerwone. Te jedynie używamy do stroju i dlatego wszyscy je znają. Teraz przyjrzyj się, ile tu otworków w tym kamieniu.

— Prawda, a dla czego on taki dziurkowaty?

— Gdy kamień był jeszcze w morzu, to — tylko nie myśl znowu, że z ciebie żartuję, — to w każdym z tych

otworków mieściło się zwierzątko do tego kamienia przyrosłe. Taki kamień wraz ze zwierzątkami pokażę ci na obrazku.

Wzięła też ciotcia książkę z półki i pokazała Mani rycinę, którą umieszczamy w Wieczorach, aby i nasi czytelnicy mogli wiedzieć, jak on wygląda. Lecz pamiętajmy, że koral bywa różny nie tylko co do wielkości, koloru lecz i kształtu, dla tego też mają różne nazwy; koral ciotci Rózi nosił nazwę ukwiatu.

— Ach ciotciu! te zwierzątka zupełnie podobne do drobnych kwiatków lub gwiazdeczek.

— Wyobraź też sobie mani, że te wszystkie kwiatki poruszają swymi płatkami i tym sposobem zdobywają sobie żywność. Nie rozumiesz tego?

— Nie, ciotciu.

— Więc posłuchaj uważnie. Widzisz na rycinie grubą niby pień podstawę na której rozkładają się te gwiazdeczki. Otóż ów pień był niegdyś również pokryty zwierzątkami, które potem poginęły ze starości a wyżej nowe powstały; ten pień jest zawsze przymocowany do skały, a zwierzątka przyrośnięte do pnia, więc nie mogą pływać po morzu za pożywieniem, lecz zdobyć je umiemy innym sposobem. Temi drobnymi płatkami szybko poruszają, przez co tworzy się około nich wir z wody i pełno drobnutkich zwierzątek morskich wpada między ruchome płatki i do wielkich ust ukwiatów. Usta mają rzeczywiście wielkie w stosunku do własnej objętości. Bo też cały ukwiat tak jak inne koral to poprostu worek galaretowaty; szeroko otwarty jak ślimak, a otoczony skorupą kamienną — a jak ślimak nie znajduje gotowej skorupki, w którą mógłby się schronić, lecz sam ją z siebie wydziela, tak też i ukwiat sam pokrywa się twardą skorupą, z której wyglądają tylko jego czułki, owe płatki które nadają mu podobieństwo do kwiatka. Otóż te twarde kamienne skorupy mają różną barwę, twoje koraliki wyrobione są ze skorupy koralu czerwonego, który rośnie sobie w morzu Śródziemnym na południu Europy.

— Cóż to za dziwne zwierzęta! zawołała Mania. A gdzie one mają głowę?

— Koral nie ma wcale głowy, ani oczów, ani uszów poprostu, jak ci mówiłam, jest to worek miękki prawie przezroczysty otoczony twardą skorupą; ponieważ zwierzęta te dziwne żyją zawsze w morzu, więc na polu u babci znaleźć ich nie możemy.

— A ciotcia mówiła, że możemy koral znaleźć w górach.

— Bo morza, od chwili stworzenia ziemi, zmieniały już wiele razy łożysko swoje, gdy w jednym miejscu morze ustąpiło, wyschło, popłynęło sobie gdzieindziej, to na jego suchem już dnie, pozostały resztki zwierząt i roślin które tam żyły. Zostały też i skorupy koralowe ale bez żywych koral, a tych szkieletów gromadziło się nieraz tak wiele, że utworzyły wielkie dotąd stojące góry.



## Jaś i piesek.

Jaś ciągnął za uszy pieska,  
Skowyczał żałośnie psina,  
Z ócz jego płynęła łezka,  
Ale złośliwy chłopczyzna  
Targał go za kark, za uszy,  
A potem głaskał rączkami.  
Aż wreszcie pies się obruszy,  
I złapał Jasia zębami.  
Puścił psa Jasio niecnota,  
Lecz kopnął nogą i rzecze:  
„Brzydalę, wszak to pieszczota”  
A pies mu: „Wcale nie przeczę,  
Choć uszy bolą mnie jeszcze.  
Ja także tylko się pieszczę”.

Z. Merawska.

## ZAWIEDZONE NADZIEJE.

komedyjka w jednej odsłonie,  
przypisana *Wandzi z nad Warty.*

(Dokończenie).

### SCENA V.

**Janka.** Chodźmy też, spytać się Kazi.

**Henio.** Po co się pytać? Ona widocznie chce nam zrobić niespodziankę i dla tego nie przyszła powiedzieć, ale my jeszcze lepszą urządzimy niespodziankę, gdy wystąpimy z nadzwyczajnem powitaniem.

**Janka.** Jakież to będzie to nadzwyczajne powitanie?

**Henio.** Staniemy na wywyższeniu, w uroczystych pozach i ja zadeklamuję mój świeży utwór! A ty...

**Janka.** A ja co?

**Henio.** Ty mogłabyś zaśpiewać, ale głosu nie masz, mogłabyś zagrać na skrzypcach, ale nie umiesz.

**Janka.** A ty pewnie umiesz!...

**Henio.** Ależ ja wcale nie mówię tego, żebym umiał. Tylko nie zaczynaj się znowu dąsać, bo czas uchodzi, lepiej pomyśl dobrze, do czego masz talent.

**Janka.** (*Namysłę się*) Może do tańca?..

**Henio.** Dobrze. Powitasz Zenobcię solowym tańcem

**Janka.** Jakto, tak bez muzyki?

**Henio.** Cóż to szkodzi; staniesz naprzeciwko drzwi i będziesz czekać, aż ja powiem: raz, dwa, trzy! Wtedy zaczniesz szybko tańczyć po całym pokoju, a ja będę deklamował.

**Janka.** E, to będzie bardzo niemądrze wyglądać.

**Henio.** Niemądrze? Doprawdy? Więc wymyśl coś mądrzejszego

**Janka.** Kiedy nie wiem co?

**Henio.** W takim razie nie odzywaj się ze swym sądem.

**Janka.** Już się zaczynasz klócić?

**Henio.** Ja się wcale nie klóczę, tylko ty zaczynasz.

**Janka.** Nieprawda, bo ty zaczynasz.

**Henio.** Nieprawda, nieprawda! (*Wchodzi Antosia*).

**Antosia.** Znowu panicz się klóci z panna Jańcią, a panna Zenobia już przyjechała i zaraz tu przyjdzie.

**Henio.** A Zygmunt?

**Antosia.** Zdaje się, że nie przyjechał, bo nie widziałam go, chociaż i panny Zenobii jeszcze nie widziałam, słyszałam tylko jak rozmawiała z panią, a panna Kazia odezwała się „Może pójdziemy do dzieci, uczą się w szkolnym pokoju” Więc ja też zaraz przybiegłam żeby powiedzieć.

**Janka.** Dobrze zrobiłaś Antosiu, trzeba nam się przysposobić na to powitanie.

**Antosia.** Zdaje mi się, że już idą.

**Henio.** Idą już, idą! (*Ustawia Jankę na środku sceny z jedną ręką podniesioną w górę z nogą naprzód wysuniętą*). Tak będzie doskonale! Pamiętaj, jak powiem trzy, zaraz zacznij tańczyć. Ja stanę na krzeselku i będę deklamować (*Wchodzi na krzeselko i przybiera przesudną pozę*).

**Antosia.** (*Wzrusza ramionami*) Nowe komedye. (*Wychodzi*).

### SCENA VI.

*Słychać szmer za drzwiami.*

**Henio.** Uważaj Janko! Raz, dwa, trzy! (*Janka skacze po scenie*).

**Janka.** A ty Heniu, deklamuj już.

**Henio.** (*Deklamuje*)

Słownik wśród drzew,

Nuci swój śpiew;

W głębinie wód

Gra zabi ród...

(*Wchodzi panna Zenobia i Kazia, zatrzymują się zdziwione. Janka skacze, Henio milknie*).

**Janka.** Ja tańczę, a ty nic. (*Spostrzega p. Zenobię i staje zmieszana*).

**P. Zenobia.** Więc to ma być nauka?

**Kazia.** Heniu, Janko! co to ma znaczyć? Myślałam że was zastanę nad książką.

**Henio.** Antosia powiedziała, że Zenobcia przyjechała do nas...

**Janka.** Więc urządziliśmy powitanie.

**P. Zenobia.** Zamiast uczyć się zadanej lekcji? To bardzo nieładnie, nie bardzo pocieszające wyobrażenie dalsieście mi o sobie na samym początku.

**Janka.** (*Z płaczem*) To Henio namówił.

**Henio.** Już spędzasz na mnie! Mogłaś nie słuchać, ale Kaziu, gdzie jest Zenobcia?

**Kazia.** Zenobcia? W domu zapewne, uczy się pilnie, nie wyprawia scen takich, jak wy przed chwilą.

**Janka.** Przecież Antosia słyszała, jak mówiłaś z mamą, że dzisiaj Zenobcia przyjedzie.

**Kazia.** Nie o Zenobci mówiłam, lecz o pannie Zenobii, którą właśnie widzicie. Przyjechała tutaj, żeby z was zrobić dzieci grzeczne, i pilne. (*Henio i Janka kłaniają się*).



**Henio.** *(Na stronie)* Wcale nie pocieszająca wiadomość. Omyliła mnie nadzieja wypoczynku i zabawy.

**P. Zenobia.** Więc to było tylko małe nieporozumienie, które więcej razy nie powinno się powtórzyć, Ktokolwiekby przyjechał nie mamy odejść od książki póki lekcye nie będą skończone. *(Janka krzywi się i spogląda na pannę Zenobię.)*

**Kazia.** Janko, co znaczy to skrzywienie i z czego jesteś niezadowolona.

**Janka.** Bo ta pani pewnie myśli, że ja nie mam ochoty się uczyć, a przecież tak nie jest..

**P. Zenobia.** Rzeczywiście odgadłaś Janeczko, ale jeżeli się mylę, to mię bardzo cieszy.

**Kazia.** Wyznać muszę, że Janka pilniejszą jest cokolwiek od swego braciszka,

**P. Zenobia.** Mam nadzieję, że i z Heniem potrafię sobie poradzić.

**Kazia.** Tymczasem proszę bardzo na podwieczorek, który zapewne podano. *(Wychodzą. Henio zatrzymuje się na przodzie sceny.)*

**Henio.** Nigdy nie spodziewałem się, że tak prędko przyjedzie nauczycielka. Tak się cieszyłem, że wypocznę jeszcze, choćby tydzień. Niestety, omyliła mnie nadzieja!!!.

N....ka.

## Dzielny Julek

przez

**Marzannę.**

*(Ciąg dalszy).*

Co to za pokój i co on tu robi? Aha, to jego własny pokój, jego łóżko, i już dzień. Przypomniał sobie wypadki wczorajszego wieczoru, nie był wszakże pewny, czy to sen, czy rzeczywistość. Spojrzał na łóżeczko Kazia, a widząc go śpiącego spokojnie, był przekonany, że mu się to wszystko śniło. Ach, jak go kości bołą, zaledwie może obrócić się w łóżku. Co mu się stało?

Drzwi skrzypnęły i do pokoju weszła mama niosąc filiżankę herbaty.

— Julku, rzekła przyciszonym głosem, wypij i powiedz mi jak się czujesz. Mów cicho, żeby nie obudził Kazia.

— Wszystko mnie boli, odrzekł Julek, ale gdzie go mamusia znalazła?

— Niedaleko, moje dziecko. Poszłam z kucharką do Mateusza, obudziłem go i spytałam, czy nie wie gdzie jest Kazio, on poszedł do Jasia i znalazł naszego zbiega w łóżku syna, a Jaś spał na podłodze. Pokazało się, że kiedyś ty poszedł do pana Wolińskiego, Kazio nie mogąc opanować strachu pobiegł do Jasia aby się u niego schować. Zastukał do okna, Jaś mu otworzył; pomógł wejść do pokoju i ustąpił swego łóżka. A rano mieli obaj dalej wędrować.

— Mamusiu...rzekł Julek i urwał.

— Co moje dziecko?

— Mamusiu, ja myślę...

— Mów śmiało Juleczku.

— Ja myślę, że Kazio nie jest jeszcze bohaterem.

Powiedział to z taką litościwą minką, że pani Żeliborska nie mogła się wstrzymać od śmiechu.

Po obiedzie przyjechał pan Woliński.

— Przybyłem tu z dwóch powodów, rzekł na wstępie. Najpierw chciałem zapytać o zdrowie synka pani, a następnie ofiarować swoje usługi. Mówił mi Julek, że pani poniosła znaczne straty z powodu bankructwa banku, a chociaż nie jestem tam dyrektorem, jak mylnie przypuszczali chłopcy, to jednak chętnie zrobię dla pani wszystko, co będzie w mojej mocy.

— Dziękuję panu serdecznie i pomoc przyjmuję. Mój mąż wyjechał, a ja szczerze panu wyznaję, nie mam innych pieniędzy, nad te umieszczone w banku.

— Rad jestem; że mogę być użytecznym, a teraz niech pani powie, jak się ma Julek.

Jest bardzo zmęczony i dla tego nie pozwoliłam mu wstać. Jaki pan był dobry dla niego, bo gdyby w nocy musiał wracać pieszo...

— Czyż mogłem na to pozwolić! Wie pani, że nie zdarzyło mi się spotkać tak dzielnego chłopca. Winszuję pani syna, winszuję serdecznie.

— Pocziwe dziecko, rzekła pani Żeliborska ze wzruszeniem. Choć jest biednym kaleką mam nadzieję, że będzie pożytecznym człowiekiem.

— Z pewnością! Będzie pani miała z niego pociechę, dzielny i rozsądny chłopiec. A że stracił nogę, to bardzo smutno, ale cóż zrobić! Uważałem, że odważnie znosi swoje nieszczęście. Najważniejsze, że potrafi zjednać sobie serca wszystkich, a niech pani powie, co jesteście wari bez przyjaźni i życzliwości ludzkiej. Jestem stary i samotny; wszyscy których kochałem poumierali, dodał drżącym głosem, na cóż mi się przydadzą majątki i pałace? Pani jesteś daleko bogatszą odemnie, chciałbym przeto prosić panią także o jedną łaskę.

— Ależ wszystko zrobię dla pana! Czyż mogłabym czegokolwiek odmówić człowiekowi, który był tak dobry dla mego dziecka?

— Bardzo polubiłem Julka, i chciałbym go mieć często u siebie. Niech mi pani pozwoli zająć się nim trochę, niech przychodzi do mnie, niech korzysta z mojej biblioteki. Mówił mi, że chce się kształcić na literata pomogę mu w tem.

— Jaki pan dobry, zawołała pani Żeliborska, która wiedziała, że towarzystwo człowieka ze wszech miar światłego, może mieć ogromny wpływ na umysł Julka. Niech przychodzi ile razy pan go zechcesz mieć u siebie; ja go tylko zachęcać będę to tego.

Julek często odwiedzał pana Wolińskiego, i spędzał najmiłsze chwile w domu zacnego przyjaciela. Dostawał zawsze mnóstwo ciekawych książek, a rozmowa z nim dodawała mu coraz więcej zapału do pracy.

*(d. n.).*



# LAMIGŁÓWKA KRZYŻOWANA.

ułożył Kielczanin.

1	u	y	i	5
	2		4	
		3		
	2		4	
1	2	e	h	5

W kwadracie z pięciu przedziałek ułożyć wyrazy, aby litery, oznaczone liczbami 1, 2, 3, 4, 5, krzyżując się, złożyły imię żony Mieczysława II.

Znaczenie wyrazów: 1) Wyspa na morzu Bałtyckim. 2) Miasto w Rosyi nad rzeką Sejmen. 3) Słynne miasto w Arabii. 4) Jezioro w południowej Afryce. 5) Woda płynąca.

## SZARADA.

F. G.

Litera na początku i litera z końca,  
Srodek płynie w krainie róż, myrtów i słońca,  
Cała zaś niewzruszona, na wichry i burze  
Stopy utkwiała w ziemi, czoło kryje w chmurze;  
A gdy pierwszą literę na inną zmieniacie,  
To i znaczenie także inne otrzymacie;  
Bo ta w życiu narodów wielkie ma znaczenie,  
Zwykle ją stanowiło ważne wydarzenie.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 33-go.

### Lamigłównki w kratkach:

M i n a r e t  
M I n d o w e  
K i N d ż a ł  
K a t E g a t  
L i v o R n o  
A d m i r A ł  
G e n e r a Ł

Zagadek kwiatowych: Szarotka. Bez.

## Czarodziejskiego kwadratu:

r a f a  
a m u r  
f u r a  
a r a s

## Skrzynka do listów.

Z przyjemnością przeczytaliśmy list twój, *Góralko z Zakopanego*, w którym zdanie co do ogłaszanych przez „Redakcję” konkursów, odpowiada zupełnie celom naszym i dążeniom. Pojmujemy to dobrze, że otrzymana nagroda miłą być musi każdemu, ale czyż i samo ubieganie się o nią, sama praca podjęta z myślą pewnego doskonalenia się umysłowego, nie może nam dać dużo zadowolenia? Wszakże w życiu naszym nie wszystkie czyny, w najlepszym nawet spełniane celu, przynoszą nam zaraz materyalne korzyści, a jednak nic nie ginie zarówno w świecie fizycznym jak duchowym. O dotrzymanie obietnicy dotyczącej lamigłówek prosimy; nadesłana „Niteczka Aryadny” jest dobrą i będzie zapewne umieszczoną, gdy przyjdzie na nią kolej.

W gronie naszych korespondentek witamy z przyjemnością *Figlarną Koteczkę*, żalując jednak, że nie może należeć do tegorocznego konkursu ręcznych robót. Trzeba koniecznie Koteczko zabrać bliższą znajomość z igłą i nożyczkami, gdyż jest to każdej kobiecie nieodzownie potrzebnem. Konkurs piśmienny prawdopodobnie niedługo ogłoszonym zostanie. Jaskółka zasyła miłe pozdrowienia.

Rozwiązanie lamigłówek nadesłane przez *Stanisława Cz. i Słowika* jest trafne; życzone numera może Słowik otrzymać w Redakcyi.

Jakkolwiek nie często, lecz zdarzają się i w świecie roślinnym okazy tak szczególnych rozmiarów jak grzyb, o którym nam donosi *Brońcia B.*

Dział grzybów w ogóle tak jest obszernym, tyle przedstawia pojedynczych gatunków, że trudno wiedzieć, z ogólnego opisu jaki nam podaje Brońcia, do jakiego, olbrzymi jej okaz zaliczonym być może, nazwa „mochowika” jest zapewne miejscową tylko, gdyż w terminologii naukowej nie znajdujemy jej wcale.

*Zujączek polny* niesłusznie utrzymuje, iż łudzimy się tylko twierdząc, że gdy przyłożymy ucho do ziemi, słyszymy dokładnie turkot powozu lub bieg konia. z takiej odległości, z jakiej ucho nasze w zwykłych warunkach nie odbiera jeszcze żadnego wrażenia. Jest bowiem ogólnie znane prawo fizyczne, które nas poucza, że niektóre ciała stałe, a nawet płynne są lepszymi przewodnikami dźwięków, aniżeli powietrze; co znaczy, że drobne cząsteczki tych ciał, atomami zwane, podają szybciej jedne drugim drgania wywołane w nich uderzeniem, lukiem lub jakimkolwiek głosem, aniżeli cząsteczki powietrza. Do takich właśnie dobrych przewodników dźwięku należy ziemia i już przed wiekami znali ludzie ten jej przymiot; korzysta z niego nawet dziki mieszkaniiec Afryki, który w ucieczce przed nieprzyjacielem przykładą nieraz ucho do ziemi, by poznać, z której strony jest ściganym, lub jak daleko jeszcze może się znajdować nieprzyjaciół. W większej sile od ziemi posiada drzewo ten przymiot, a najlepszym bodaj, że wszystkich ciał stałych, przewodnikiem głosu jest żelazo, które 15 razy mocniej i szybciej nam go podaje, aniżeli powietrze. Doświadczenia z tą prawdą fizyczną bywają bardzo zajmujące, a dostępne dla każdego. Składamy np. bezpośrednio na drewnianej płycie stołu, zwykły kieszonkowy zegarek i mimo, że nasłuchujemy pilnie chociażby w oddaleniu półlokciowym tylko, nie słyszymy wcale zwykłego jego „tyk-tak” Jeżeli jednak przyłożymy ucho do stołu, choćby od zegarka rozdzielala nas długość kilkolokciowej deski, usłyszymy tak głośne i wyraźne tykotanie, jakby pochodziło od wielkiego zegara ściennego. Obok tych dobrych przewodników, istnieją także złe, to jest takie, które przytłumiają głos każdego, do nich należą: wlna, bawelna, pierze, i. t. d.